

Krew na weselu.

(Do ilustracji tytulej.)

Wesela i chrzciny po wsiach galicyjskich, uroczystości niewątpliwie radosne i wesołe, kończą się w bardzo dużej ilości wypadków krwawymi zajściami, niejednokrotnie nawet śmiercią któregoś z uczestników. Przyczyną tego jest nieszczęsna wódka, która stanowi „clou“ przyjęć wiejskich. Pod jej wpływem rozgrzane umysły, podniecone namietności, niesłychanie trudno utrzymać w korbach, a w tych warunkach lada drobnostka wywołać może najstraszniejszą awanturę.

Świeżo zaszedł taki straszny wypadek na weselu włościańskim na „Grobli“ w Niepołomicach.

Oto w czasie ochoczych, wesołych tanów przyszło do sprzeczki między młodym, tegim parobkiem z Niepołomic, Franciszkiem Bystrowskim, synem miejscowego gospodarza a kapralem 2 p. ułanów, Józefem Koczurem. W grę wchodziła zazdrość. Bystrowski mianowicie zauważył, że dziarski ułan zbyt natarczywie zaleca się do jego narzeczonej Siwkówny, a uważając swoje prawa za lepsze, uderzył intruza dwa razy w twarz. Kapral Koczur początkowo nie reagował, ciężka jednak zniewaga, jakiej doznał wobec dużego grona gości weselnych, nie dała mu ani na chwilę spokoju. Nie mówiąc nikomu ani słowa, opuścił na krótki czas dom, w którym wesele się odbywało, i udał się do swoich koszar. Zabawił tam krótko. Tyle, ile było potrzeba, aby nabić wielki rewolwer służbowy, który leżał obok jego łóżka.

Ze straszną tą bronią wrócił na wesele, aby pomścić doznana zniewagę. Zemsty też dokonał ze skutkiem. Oto strzałem z rewolweru powalił na ziemię Bystrowskiego, który padł z przestrzeloną skronią. Nie na tem jednak skończyła się tragedia na weselu. Koczur bowiem, ujrawszy swego wroga u swych stóp ze straszną raną w skroni, skierował lufę rewolweru ku sobie i celnym strzałem śmierć sobie zadał.

Dwa trupy! Oto koniec hucznego wesela w Niepołomicach...



W chwili, kiedy to piszę (niedziela, godz. 8, min. 33 po połud. — należy być dokładnym) losy Dumy zapewne są zdecydowane — i prawdopodobnie, zanim wyjdą „Nowości“, będzie już dziennikarstwo dla drugiej Dumy pisać nekrologi.

W nekrologach tych radzę zwrócić uwagę na dziwny zbieg okoliczności. Żądanie Stołypina, aby wydano z Dumy 55 posłów, a 16 z nich pozwolono aresztować, było postawione we czwartek, a już we środę ambasador niemiecki zapowiadał rozpustzenie Dumy. Może ktoś między tymi dwoma faktami zechce dopatrywać się jakiegoś związku — ci jednak, którzy wierzą Prusakom na słowo (a któżby im nie wierzył?) wiedzą, że rząd państwa niemieckiego „nigdy się nie miesza do spraw wewnętrznych państw innych“. Więc też proszę ani na chwilę nie przypuszczać, aby w tym razie odstąpił od swojej zasady.

Również dowodem krótkowidztwa i niepotrzebnej podejrzliwości byłoby sądzić, że projekt zmniejszenia liczby posłów z Królestwa Polskiego mógł powstać w jakiejś pruskiej głowie. Co prawda, ci Polacy w Dumie stali się ogromnie niewygodni — na którą stronę przeszli, tam była większość. Oni więc „de facto“, gdyby tak poszło dalej, decydowaliby we wszystkich sprawach państwa rosyjskiego. Z czasem rząd musiałby przed wniesieniem każdego projektu zapytać się posłów polskich: czy panowie pozwolą? A ponieważ w polityce matką jest ten, co robi grzeczności dla tych, co się „nie znają na grzeczności“, czyli, że maksyma „do ut des“ jest podstawą każdej rozumnej polityki, więc rząd, chcąc pozyskać dla siebie głosy polskie, musiałby nieustannie czynić Polakom tak zwane ustępstwa.

Gdyby kwestya rozwiązania Dumy nie górowała

nad innemi, byłbym rozpoczął moją kronikę od zjazdu kobiet w Warszawie, choćby z tej przyczyny, że dopóki równouprawnienie płci nie nastąpi, dopóty kobietom zawsze będzie się należało pierwszeństwo.

Zjazd ten miał dwa cele: pierwszy oddać hołd znakomitej powieściopisance Orzeszkowej, a drugi... wygadać się. Oba tych celów dopięto z tą tylko różnicą, że uczczenie Orzeszkowej odbyło się bez żadnego dysonansu, było pięknym objawem wdzięczności kobiet i całego społeczeństwa dla znakomitej autorki i obywatelki, a „wygadanie się“ (cel drugi) przypominało czasami dyskusje, jakie się toczą w Warszawie na rynku Starego Miasta, a w Krakowie na placu Szczepańskim.

Byłoby niesprawiedliwością nie przyznać zjazdowi wielu stron dodatnich. Samo podniesienie zagajenie Konopnickiej już wystarczyłoby, aby zapomnieć o jednym lub drugim dysonansie. Ze sprawozdań dziennikarskich nabieramy przekonania, że warto było posłuchać i obdarzyć oklaskami to, co mówiła p. Bohowiczowa z Kalisza o wychowaniu dzieci proletariatu, p. Morawska o pracy oświatowej wśród ludu, p. Świacka o stanie oświaty na Białorusi. Śliczny obraz pracy kobiet w Warszawie w ostatnich dziesięciu latach podała p. Śniegocka; była to kartka z martyrologii polskiego tajnego nauczania. Takież sam obraz tajnego ruchu oświatowego na Litwie wyszedł z ust p. Jeleńskiej Dmochowskiej. Były i takie panie, które nie wahały się zaznaczyć, że kobiety, dobijające się praw, a więc i rozszerzenia swoich obowiązków, niezupełnie zadość czynią dotychczasowym swym obowiązkom. Boć nie inne wrażenie musiały uczynić uwagi p. Łozińskiej z Kijowa, tyżące się „małego przygotowania kobiet do spełniania obowiązków macierzyńskich“, a więc najważniejszych, jakie Opatrzność nałożyła na kobietę. Milczą też sprawozdawcy, jak przyjęto referat p. Kozłowskiej, który poruszył sprawę higieny gospodarstwa domowego, przedstawiając potrzebę zmian i reform w tej „zaniedbanej“ dziedzinie.

Poprzestajemy na tych „stronach dodatnich“, których zapewne musiało być znacznie więcej. Potem jednak „sum cuique“, zaznaczyć należy, że na ogólnych posiedzeniach zjazdu i na obradach sekcji przeważnie święciła tryumfy frazeologia a la Turzyna. W popisach tych, przynajmniej, brały udział nie same tylko kobiety; razem z nimi zbierali laury pp.: Lednicki, Wróblewski, Krzywicki itd. Ale to jeszcze możnaby darować, gdyby nie cały szereg kłótni i polemik, które z poważnej sali obrad zrobiły karczmę. Nie pomagały ani prośby, ani groźby — nadarmo pracowały dzwonki przewodniczących. Była chwila, że nawet p. Iza Moszczeńska, doprowadzona tą „wolnością słowa“ do rozpacz, zaczęła tupać i wołać: bądźcie cicho! Gwarancja komitetu, że nie będą poruszane sprawy partyjne i religijne, że wszyscy biorący udział w zjeździe mogą być pewni uszanowania ich zapatrywań politycznych, zawiodła najzupełniej. Najspokojniejsze referaty, jak np. p. Suligowskiego, przyjęte były... gwizdaniem. Zaczęto sobie używać na narodowych demokratach, na duchowieństwie itd., co wywoływało protesty, które starano się zagłuszyć krzykami. Kilka razy powstawał taki harmider, jak w żydowskiej szkole; kto chciał wdziarał się na trybunę i dobywał piskliwego lub tubalnego głosu.

Ale najlepiej udało się plenarne zakończenie zjazdu. P. Rygier-Nałkowska, warszawska grafomanka, w imieniu najmłodszych „zjeżdźła“ zjazd co się zowie. Między innemi oświadczyła, że zjazd nie był pełnym, bo komitet pominął przy zaproszeniach... prostytutki. Zrobił się naprzód szmer, potem huk. Tu właśnie p. Moszczeńska tupiała ze złości, a p. Turzyna z radości. Gdy z huczku zrobił się huk, przewodnicząca zjazdu, znakomita poetka Konopnicka, uznała za stosowne ulotnić się. Hałas się wzmacniał, histeryczki i „najmłodsi“ obojga płci byli w swoim żywiole. Z chwilowego uciszenia się skorzystał p. Magnus i oświadczył, że uczestniczki zjazdu prawdziwie zasłużyły na równouprawnienie, bo wysłuchały cierpliwie rzeczy, których on nie odważyłby się powtórzyć w męskim towarzystwie. Słowa te pokryły śmiechy i krzyki. Gdy końca wrzawie nie było, zastępczyni przewodniczącej oświadczyła, że Konopnicka opuściła salę i nie zakończy zjazdu przemówieniem. Odezwały się liczne głosy: szczęśliwej podróży! obejdzcie się bez „zaco-fanych!“ (!) krzyżyk na drogę!

Tak się zakończył pierwszy zjazd kobiet polskich w Warszawie, a dr. Henryk Nussbaum w kilka dni później wygłosił odczyt „O mądrości“. Cemu tego nie uczynił wcześniej?

Warszawa bawiła się nietylko zjazdem kobiet.

Pozwolono jej nareszcie zobaczyć offenbachowską „Księżniczkę Gerolstein“, ową sławną... antifeministkę. Dobrze i to, kiedy większej pociechy z konstytucji mieć nie można.

We Lwowie osunął się kopiec Unii, stąd, jak twierdzą dzienniki, zapanowało przerażenie. Zaboronni widzą w tym całkiem naturalnym wypadku jakąś nadzwyczajną przepowiednię. Tymczasem, gdyby w tem samym miejscu usypiano kopiec na pamiątkę jakiegokolwiek bądź innego historycznego wypadku, ten sam los byłby go spotkał. Poprostu ów słynny „potop“ lwowski z przed dwóch tygodni podmył podstawę kopca. Gdzie fundamentem takich usypisk nie jest skała, tam o ich usunięciu się nie trudno. Gorzej, że przesunęła się w najpopularniejszym warszawskim dzienniku data wielkiego historycznego faktu, dziennik ten bowiem zaręcza, że Smolka rozpoczął sypanie kopca w r. 1896 (tak), jako w 300 rocznicę Unii Lubelskiej.

W Krakowie mieliśmy proces szparagowy i... totalizatora dla dam. Mimo wszelkich usiłowań trybunału, prokuratora i obrońców, nie udało się nam dowiedzieć, czy p. Kłuszyńska jadła cudze szparagi, o co ją publicznie posądził p. Friedl, czy też szparagi kupione za własne pieniądze, czy wreszcie całkiem nie jadła szparagów. Wogóle nie ustalono nawet faktu, czy te szparagi, jeśli istniały wogóle, miały smak przyjemny, czy też były gorzkie; zdaje się, że społeczeństwo w tej niepewności na zawsze już pozostanie. Co do totalizatora dla dam, ten z pewnością w skutkach okazał się gorzki, choć sam pomysł wprowadzenia go zasługuje na wysokie uznanie. Bądź co bądź jest to jeden krok naprzód do równouprawnienia kobiet.

Miałem na ten temat snuć dalej uwagi, a potem wspomnieć jeszcze o nowych „parach“, dożywnych i dziedzicznych, jacy przybyli Galicyi, ucieszyć się z orderu słonia, udzielonego przez króla duńskiego p. Faliéresowi, wyrazić powątpiewanie w pojawienie się prawdziwego Jana Orthy, zaprzeczyć pogłoskom o romansowem usposobieniu króla Karola portugalskiego itd. — gdy wtem (poniedziałek, godz. 11 min. 24) dowiaduję się, że sprawdziło się moje prorocтво, bo losy Dumy zostały rzeczywiście wczoraj zdecydowane. I to nie wczoraj wieczorem, ale bardzo rano, bo już na 14 godzin przedtem, zanim zacząłem pisać kronikę, telegraficzna agencja petersburska rozesłała o tym fakcie wiadomość po szerokim świecie i cały świat też o nim szeroko rozprawiał. Dlaczego więc Kraków dowiedział się o nim dopiero nazajutrz, po upływie całej doby z okładem? Naturalnie dlatego, że mamy na miejscu w Krakowie agencję wiedeńskiego biura korespondencyjnego. Póki jej nie mieliśmy, przychodziły telegramy co dzień, a więc i w niedzielę, wprost do redakcji dzienników — obecnie, ponieważ ją mamy, niedzielne telegramy spoczywają sobie w agencji do poniedziałku. I słusznie. Po co ludziom w niedzielę głowę zawracać jakąś polityką? — niech się bawia, niech świętną bez troski. Takie to namacalne korzyści mamy z krakowskiej agencji biura korespondencyjnego.



Król i błazen.

Król do błazna raz rzecze,
Wśród poufnej rozmowy:
— „Powiedz-że mi człowiecze,
Skąd twój humor różowy?”

„Kto te zmarszczki ma w twarzy,
Życia w szczęściu nie spędza!
Powiedz jak się kojarzy
Twa wesołość i nędza?”

Błazen rzekł mu: „Wyniosła
Masz postawę mój królu,
Choć dość serce przeniosło
I zawodów i bolu!”

A król: „Nie znasz pańszczyzny?
A gdy znasz ją nie chłostaj!
Kryje rany i blizny
Ten królewski gronostaj!”

Błazen rzekł mu nareszcie:
„Tak z nas każdy świat mami!
I ja kryje — ach! wiercie,
Ból mój — pstrzemi strzępami!...”

K. K.

